

ADAM CICHOCKI

ur. 1956; Namysłów



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL, współczesność
Słowa kluczowe	PRL, współczesność, projekt Polska transformacja 1989-1991, biuro pośrednictwa pracy, zwolnienia grupowe, wyszukiwanie ofert pracy, bezrobocie, rynek pracy, koła „Solidarności” Rolników Indywidualnych, miejskie ośrodki pomocy społecznej, handel uliczny, nowe możliwości na rynku pracy

Biuro pośrednictwa pracy

Czy ja się wtedy tego spodziewałem? Wiedziałem, że wracając pod koniec sierpnia 1989 roku do Polski, wracam do innego kraju. W momencie, w którym doszło do przesilenia i premierem został Tadeusz Mazowiecki, to był już moment przełomowy. Ale to jeszcze nie spowodowało, że się włączyłem w politykę. Wróciłem, żeby zorganizować warunki do życia dla swojej rodziny – mówię to wprost. W październiku, może listopadzie, już wiedziałem, że „wszystkie ręce na pokład” i że każdy będzie potrzebny. Od początku stycznia 1990 roku miałem przyznane stypendium naukowe w Austrii z zakresu katolickiej nauki społecznej. Jednak, pomimo monitów z Wiednia, ostatecznie nie pojechałem. Uznałem, że muszę włączyć się w proces zmian w Polsce.

W styczniu poszedłem do Zarządu Regionu i przedstawiłem najpierw Jankowi Wojcieszczukowi, a potem Staszekowi Węglarzowi koncepcję powołania przy Zarządzie Regionu Związkowego Biura Pośrednictwa Pracy. Obaj bardzo mnie poparli. Staszek postanowił utworzyć dla mnie etat w Zarządzie. Przyjąłem, że program, jaki określił Tadeusz Mazowiecki i jego gabinet, jest programem, który nieodwołalnie prowadzi nas do gospodarki rynkowej, i że temu będzie towarzyszyć bezrobocie, dlatego chcę się tym zająć. Zajmowałem się katolicką nauką społeczną; myślę, że było to zgodne z moją wrażliwością i rozumieniem, że transformacja będzie wymagała ludzi, którzy stworzą – określiłbym to – pewne bufory społeczne, że będą ofiary tego procesu i trzeba zrobić jak najwięcej, żeby temu przeciwdziałać. Jeszcze w grudniu 1989 roku opracowałem koncepcję komercyjnego Biura Pośrednictwa Pracy, którą ostatecznie, po zapoznaniu się z nową ustawą oraz po analizie rynku, zarzuciłem.

W biurze pracowałem od lutego do czerwca. Podstawą moich działań była dobra

informacja, o którą wtedy w Zarządzie nie było trudno. Z wyprzedzeniem wiedziałem, gdzie są planowane lub realizowane zwolnienia, gdzie jest sytuacja kryzysowa. Przyjąłem, że tam, gdzie są zwolnienia grupowe (bo już była Ustawa o zwolnieniach grupowych), tam trzeba dać informację o tym robotnikom czy w ogóle pracownikom, jakie są możliwości na rynku pracy, jakie przysługują im prawa. Często w tym zakresie współpracowałem z Biurem Prawnym przy Zarządzie Regionu – zwłaszcza z Andrzejem Bączkowskim.

Niezależnie od tego, profilaktycznie chodziłem do zakładów pracy i przedstawiałem założenia biura. Mówiłem, że osoby, które są zwalniane, mogą zdobywać informacje o ofertach pracy, mogą dowiadywać się – bo już tworzyły się urzędy pracy – jakie są możliwości. Na siebie wzięłem szukanie ofert.

Zacząłem też wspierać komisje zakładowe w negocjacjach w zakresie zwolnień grupowych. Niekiedy wychodziłem poza ramy swoich kompetencji. Na przykład włączyłem się w negocjacje ceny skupu buraków pomiędzy producentami buraków a cukrowniami. Zawsze problem wsi był mi bliski. W 1981 roku jeździłem jako lektor, zakładając koła „Solidarności” Rolników Indywidualnych w regionie. Czułem, że to jest region, w którym zmiany na wsi i w małych miasteczkach są kluczowe dla przyszłości tego regionu.

Początkowo ilość osób korzystających z biura pośrednictwa była stosunkowo niewielka, trudno mi dzisiaj wskazać, ile to było osób, ale tłumów nie było. Godzinami siedziałem w gabinecie i czekałem, aż ktoś przyjdzie. Zaś na wiosnę 1990 roku naprawdę zaczął się szturm osób będących w tragicznej sytuacji socjalnej, które przychodziły do Zarządu Regionu dowiedzieć się, czy mogą uzyskać jakąś pomoc. Tutaj wskazywano, że jest taki gość i taki pokój, gdzie mogą uzyskać jakieś wsparcie. To była dla mnie sytuacja, której nie zakładałem; musiałem temu wyzwaniu poddać.

Nagle pojawiła się spora grupa ludzi, którzy zamieszkiwali hotele robotnicze, ludzi, którzy nagle znaleźli się na ulicy; bardzo często to byli rozwodnicy. Jakoś tak wyraźnie widziałem, że dominują osoby, które były po rozwodzie, mężczyźni, którzy zostawili mieszkanie żonie, a sami poszli pracować i mieszkać w hotelu robotniczym, którzy byli likwidowani w pierwszej kolejności. Schodzą z kosztów. Te osoby nie miały zameldowania, nie mogły podjąć nowej pracy, więc ja przyjąłem na siebie funkcję takiego opiekuna. Nagle zobaczyłem, że w Lublinie nie ma noclegowni, nie ma miejsc dziennego pobytu, że ci ludzie trafiają na dworzec, z dworca na ulicę i to jest takie koło właściwie bez wyjścia. W sposób zastraszająco szybki tworzy się duża grupa ludzi bez wsparcia, bez jedzenia, bez dostępu do wody i możliwości utrzymania czystości. Wziąłem sobie za cel znaleźć dla nich wsparcie. Wtedy zacząłem nawiązywać kontakt z miejskimi ośrodkami pomocy społecznej, jeszcze nie było fundacji, nie funkcjonowało Towarzystwo imienia Brata Alberta. Znalezienie dla każdej z takich osób jakiegokolwiek formy pomocy było dla mnie szczęściem i dawało mi poczucie sensu.

Druga grupa, która do mnie docierała, to były osoby, które albo zostały wyrzucone

z pracy, albo same odeszły, ale które postanowiły podjąć jakąś działalność gospodarczą. Docierali do mnie ludzie, którzy mieli na przykład łóżka. To było masowe zjawisko tych rozkładanych łóżek na ulicach czy takich osób, które krążyły od miejscowości do miejscowości z kalendarzem, dowiadując się, kiedy targ jest w Ostrowie Lubelskim, kiedy w Kocku, kiedy w Rykach i tak dalej. Ci nowi bez doświadczenia przedsiębiorcy docierali do mnie z prośbą o dodatkowe informacje, kontakty. Udawało mi się niekiedy kojarzyć tych ludzi; znam nawet poważne fortuny, które wyrosły od takiego łóżka. Stworzyła się u mnie informacja gospodarcza. To miało wpływ na sposób, w jaki później wypełniałem rolę dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Pracy. Kolejna grupa to były osoby, które chciały uzyskać wsparcie w zakresie podjęcia działalności gospodarczej, głównie chodziło o jakąś informację. Przyszła do mnie pani: „Mam kiosk, nie wiem, co z tym robić?”. Druga przychodzi: „Mam dwoje dzieci, mąż mi choruje”. Mówię: „Proszę pani, niech pani idzie do tej pani, co ma kiosk”. I ona już bierze go w dzierżawę, a chodziło o ten koło hotelu Europa. Przychodzi człowiek i mówi, że jest zwolnionym kolarzem ze Świdnika, bo był na fikcyjnym etacie w jakimś zespole. Pytam: „Więc co pan umie?”, „Znam się na naprawie rowerów”. Zorientowałem się, że gość jest bardzo elokwentny, więc mu mówię: „Przyszedł do mnie ktoś, kto ma lokal, który nadawałby się na hot-dogi, na jakieś takie rzeczy”. Tam go poleciłem i on w ten sposób zaczął. Zorientował się, że nie ma na terenie Lublina takich punktów i postanowił montować budki. Potem wynajął w Kocku POM do produkcji tych budek, a następnie stał się producentem okien i drzwi aluminiowych.

Bardzo różne były losy ludzi, którzy się do mnie zgłaszali. Przychodzi do mnie inżynier budowlany: „Panie Adamie, wyrzucono mnie z pracy. Co mam robić?”. Mówię, że mam różne firmy budowlane, które oferują pracę. Oczywiście brałem telefon i dzwoniłem po tych firmach, pytając, czy nie potrzebują kogoś do pracy. Po paru dniach mam ofertę dla niego, dzwonię. Przychodzi i mówi: „Mam swój stragan na Podzamczu z pończochami i skarpetkami i nigdy już więcej na budowę nie wrócę”. W latach 1990–1991 była nagła eksplozja możliwości. Ludzie zaczynali od łóżka, a potem stawali się przedsiębiorcami. Wielu z tymi łóżkami jednak przegrało; była to selekcja dość brutalna.

Data i miejsce nagrania	2014-01-04, Lublin
Rozmawiał/a	Łukasz Kijek
Transkrypcja	Piotr Krotofil
Redakcja	Małgorzata Popek, Monika Tatara
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"